

Anna Mieszkowska

Jego serce zostało we Lwowie : wspomnienie o Gwidonie Boruckim (1912-2009)

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (12-13), 322-329

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JEGO SERCE ZOSTAŁO WE LWOWIE...
WSPOMNIENIE O GWIDONIE BORUCKIM (1912–2009)*

Odszedł nagle i niespodziewanie ostatniego dnia 2009 roku. Trzy miesiące wcześniej skończył 97 lat. W Australii spędził pół wieku! 70 lat żył poza Polską. W nocy encyklopedycznej ktoś napisze: Gwidon Borucki, właściwie Gwidon Alfred Gottlieb urodził się 2 września 1912 roku w Krakowie, zmarł 31 grudnia 2009 w Melbourne, był aktorem, piosenkarzem, pierwszym wykonawcą legendarnej pieśni Feliksa Konarskiego i Alfreda Schütza *Czerwone maki na Monte Cassino* z 1944 roku.

Poznaliśmy się najpierw korespondencyjnie w 1991 roku. Jako jeden z pierwszych artystów emigracyjnych odpowiedział na mój apel zamieszczony w londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, że poszukuję dokumentacji dotyczącej życia teatralnego wśród Polonii.

W ciągu trzech lat odpowiadał cierpliwie i obszernie na wszystkie moje pytania o losy ludzi, przedstawień teatralnych. Z tej korespondencji powstał opis nie tylko jego życia artystycznego, ale i przeżyć wielu osób z pokolenia, któremu wojna zabrała młodość, szczęście i radość. Wygnała z ojczyzny, „wysadziła z siodła”, skazała na tułaczkę w różnych rejonach świata.

Wiosną 1994 roku pan Gwidon zatelefonował z następującą wiadomością: — Jadę do Włoch na obchody 50. rocznicy bitwy o Monte Cassino. Potem będę kilka tygodni w Londynie u brata, może tam byśmy się spotkali...

Pojechałam. W ciągu dwóch tygodni widywaliśmy się niemal codziennie. W POSK-u i w Ognisku Polskim odbywałam indywidualne seminaria z historii II wojny światowej i historii teatru na emigracji. Uczestniczyłam w dwóch koncertach pana Gwidona, który (wówczas 82 letni!) zaimponował mi kondycją fizyczną i pięknym głosem. Przez dwie godziny stał i śpiewał, akompaniując sobie na akordeonie. I chociaż zaśpiewał kilkanaście różnych piosenek z przedwojennego i powojennego repertuaru — wszyscy czekali na tę jedną, jedyną: *Czerwone maki na Monte Cassino*. Znałam tę pieśń z nagrań krajowych i emigracyjnych, ale po raz pierwszy słyszałam jej wykonanie „na żywo”. Nigdy nie zapomnę tej ciszy, w której była wówczas wykonywana, i tych braw, tej owacji na stojąco — gdy przebrzmiały ostatnie jej słowa. Uległam wzruszeniu, jak wszyscy obecni...

Dzięki protekcji pana Gwidona poznawałam ciekawych ludzi, słuchałam ich wspomnień.

Z tych opowieści powstała taka oto historia, którą później spisałam, a pan Gwidon autoryzował i dał mi zgodę na publikację jako jego własnej opowieści.

* Wspomnienie napisane na podstawie materiałów przekazanych przez Gwidona Boruckiego Annie Mieszkowskiej, obecnie znajdujących się w Archiwum PAN, Kolekcja: Artyści emigracyjnej Melpomeny, sygn. K. Aem III-416 j. 4.

— Urodziłem się w Krakowie, a wychowałem w Przemyślu, skąd cała nasza rodzina pochodzi. Ale wszystkim mówię, że moim rodzinnym miastem jest Lwów, w którym spędziłem młodość i wczesno dorosłe lata. W 1924 roku przenieśliśmy się wraz z rodzicami i braćmi do Warszawy. Chodziłem do Gimnazjum Hebrajskiego Askola, w którym językiem wykładowym był polski. Budynek szkolny znajdował się na placu Tlomackim obok głównej synagogi. Przez dwa lata siedziałem w jednej ławce z Albertem Harrisem, który wtedy nazywał się Hekelman. Wkrótce nasza rodzina przenieśliśmy się do Berlina, gdzie ojciec był współwłaścicielem trzech kin. Ale z wiadomych powodów po kilku latach wróciliśmy do Polski. Rodzice zamieszkali w Przemyślu, ja z bratem we Lwowie.

Po maturze w 1932 roku zapisałem się na studia handlu zagranicznego. Aby móc się samodzielnie utrzymać, zacząłem zarabiać śpiewając z orkiestrą w nocnym lokalu Hotelu Krakowskiego Cyganeria. Po niespełna roku otrzymałem *engagement* do Warszawy, do nocnego lokalu Arizona, którego właścicielem był Fred Melodysta. Występowałem jako tak zwany „refrenista” z dziesięcioosobową orkiestrą jazzową OK. Band Leona Mittelsbacha, ale miałem także solowe występy kabaretowe. Śpiewałem z nimi przez kilka lat w różnych miastach Polski. W 1936 roku dostałem kontrakt do Cafe Club w Warszawie. Grała tam słynna orkiestra Witkowskiego. Rok później odwiedził ten lokal dyrektor Cyrulika Warszawskiego, Fryderyk Jarosy, w towarzystwie Zofii Terne i Kazimierza Krukowskiego.

Po wysłuchaniu mojego występu, Jarosy zaangażował mnie do swojego teatru. W Cyruliku Warszawskim byłem aż do wiosny 1939, grałem do ostatniego przedstawienia. Śpiewałem w programach rewiowych, brałem udział w sztukach jako aktor (*Romans z urzędem skarbowym, Frick i Frak*). Czerwiec spędziliśmy w objeździe po Polsce. Występowaliśmy w Krakowie, Zakopanem, we Lwowie i w Wilnie. Byli z nami: Jarosy, Terne, Edmund Minowicz, Marian Rentgen, Stefania Grodzieńska, Lula Kryńska, Eugeniusz Koszutski. Na tych występach Cyrulik zakończył swoją działalność. W sierpniu rozpoczęliśmy próby do nowego teatru Jarosy`ego — Figaro, przy ulicy Marszałkowskiej 8.

W ostatnich dniach sierpnia Marian Rentgen przyszedł w mundurze oficerskim i oświadczył, że został zmobilizowany, i że w przedstawieniu nie będzie mógł wziąć udziału.

Planowana na 2 września premiera *Życie nie umiera!* już się nie odbyła.

W tym okresie wynajmowałem pokój u państwa Boruńskich przy Piusa XI. Oprócz mnie, pani Boruńskiej, jej synów Leona (Lowy), pianisty i kompozytora, i Włodka, aktora mieszkala tu także Stefcia Górka. 14 października postanowiłem uciekać z Warszawy do mojej rodziny w Przemyślu. Niemcy zajęli teren Polski aż po przepływającą koło Przemyśla rzekę San, zaś Sowieci zajęli obszar po drugi brzeg Sanu. Część przedmieścia Przemyśla była pod okupacją niemiecką, zaś samo miasto, gdzie mieszkali moi rodzice i brat, znalazło się w rękach Rosjan.

Wyjechałem z Warszawy z Włodkiem Boruńskim i Wilkiem Schulzem (bratankiem pisarza Brunona Schulza) i jego żoną. Po kilku dniach szczęśliwie dotarliśmy do Przemyśla, a potem do Lwowa. Spotkałem tam na ulicy Ludwika Lawińskiego, który opowiedział mi o organizowaniu się grup teatralnych i muzycznych. O przydziale zdecydował rosyjski dyrektor Michał Potszybitkin. Dostałem angaż do zespołu Henryka Warsa. Poza trzydziestoosobową orkiestrą byli w nim: mój szkolny kolega Albert Harris, Eugeniusz Bodo, Renata Bogdańska, Janina Jasińska, i dwie pary tancerzy — Jonny Stone i Lidia Warren, Sława i Jerzy Ney. Oprócz naszego zespołu działały osobno Teatrali-

zowany Jazz Feliksa Konarskiego, zespół muzyczny Gerta i Franka z solistami, a w Białymstoku miały bazę zespoły muzyczne Adi Rosnera, Golda i Petersburskiego.

Każda z tych grup miała dwóch administratorów rosyjskich, z których jeden był na stałe przy zespole, drugi jeździł z wyprzedzeniem do miast, załatwiając sale na występy i hotele dla artystów. Podróżowaliśmy dosłownie po całej Rosji. W czerwcu 1941 roku, na Uralu, w Swierdłowsku zastała nas wiadomość o wojnie niemiecko-rosyjskiej. Administratorzy natychmiast zmienili plany kolejnych występów i przez następne pięć miesięcy graliśmy w różnych miastach Azji, a także na Krymie. Wszystkie polskie zespoły spotkał ten sam los. Zdarzało nam się koncertować w tych samych miejscach. Pod koniec października znaleźliśmy się w Taszkencie. I tutaj, po dwóch tygodniach grania, wszystko się skończyło. Brak było dalszych propozycji. Nie wiadomo, co robić. Przypadek zrządził, że przyjechała w tym czasie grupa Ref-Rena, która miała zamówienia na dalsze występy. Za zgodą Warsa i rosyjskich opiekunów naszego zespołu przeniosłem się z Bogdańską do Konarskiego. Występowaliśmy dla Kirgizów, Uzbeków, Ormian, Kazachów, Turkmenów, aż w grudniu dojechaliśmy do Czkałowa. Po tygodniu spotkaliśmy tam na peronie polskiego sierżanta żandarmerii, w pełnym umundurowaniu, z czapką futrzaną na głowie, z polskim orzelkiem. Powiedział nam, że tworzy się polska armia, do której jest on upoważniony werbować ochotników. Nasz pianista, Leszek Krzaklewski, który był porucznikiem, znikł na kilka dni, po czym przywiózł ze sobą rozkaz na piśmie, nakazujący imiennie wszystkim członkom Teatru Ref-Rena zameldować się w Tocku. Radość była ogromna. Ruszyliśmy w drogę prawie natychmiast. Okazało się, że inne zespoły też samorzutnie podjęły decyzję o zgłoszeniu się do polskiego wojska. W Tocku zakwaterowano nas w tak zwanych ziemiankach, to znaczy w schronach głęboko pod ziemią. Mróz był straszny, minus 45 stopni.

Już w Boże Narodzenie daliśmy przedstawienie dla żołnierzy w obecności generała Andersa. Tego wieczoru nigdy nie zapomnę. Dużo było dzieci. Nastroju podczas przedstawienia nie sposób opisać. Następne dni, tygodnie były bardzo trudne. Brakowało żywności. Rosjanie ograniczali przydziały, a ludzi przybywało. Jako wyżywienie otrzymywaliśmy po 600 gramów chleba, czarna kawa, rano i wieczorem, na obiad zupę z kaszy jaglanej, tę samą kaszę na sypko, w małej ilości, osobno.

W styczniu 1942 roku 10. dywizja, do której nas przydzielono, została przeniesiona na cieplejsze strony, na południe, do Ługowoje w Kazachstanie. Wciąż było ciężko. Tyfus masowo nas zabijał. Codziennie odbywały się pogrzeby. Mnie też ta choroba nie ominęła.

31 marca większość polskich oddziałów przybyła do Krasnoworska nad Morzem Kaspijskim. Armia Polska została ewakuowana statkami do Persji, a wraz z wojskiem — wszystkie zespoły artystyczne.

1 kwietnia przybyliśmy do portu perskiego Pahlewi. Zrozumieliśmy, że nieludzką ziemię pożegnaliśmy na szczęście na zawsze. Choć przed nami była droga daleka i nieznana, mieliśmy wszyscy w sobie wiele optymizmu i nadziei.

Po kilkudniowym biwakowaniu i dokładnej dezynfekcji otrzymaliśmy tropikalne mundury wojskowe. Przewieziono nas przez góry Elbrus do Teheranu. Tam zakwaterowano w ponemieckiej fabryce karabinów maszynowych. Nastąpiła ważna reorganizacja zespołów. Dla naszych żołnierzy mieliśmy występować w małych grupach. Postanowiono wykorzystać nas w celach propagandowych. Dla publiczności obcojęzycznej mieliśmy występować jako The Polish Parade (Polska Parada). Powstał reprezentacyjny zespół złożony z orkiestry Henryka Warsa i połączonych grup Konarskiego i Krukowskiego.

Dowódcą wojskowym wszystkich zespołów był major [Ludwik] Naimski, zaś dowódcą Polskiej Parady porucznik Jerzy Kropiwnicki, znakomity pianista. Jego zastępcą został podporucznik Witold Sikorski. Kierownikiem literackim mianowano Feliksa Konarskiego, muzycznym — Warsa. Otrzymaliśmy przydział do Komendy Głównej, a właściwie do Oddziału Propagandy i Oświaty, którym kierował rotmistrz Józef Czapski (jego zastępcą był Jerzy Giedroyc). Konferansjerkę po angielsku prowadził ja, a po francusku (dla Persów) aktor Bolesław Kersen.

Dwukrotnie daliśmy przedstawienia w letniej rezydencji szacha w Schemran pod Teheranem. W listopadzie 1942 wyjechaliśmy do Iraku. Bazę mieliśmy w miejscowości pustynnej Kizilribat. Było tam piekielnie gorąco — 50 stopni. W namiotach duszno. W nocy spaliśmy na zewnątrz, otaczając nasze polowe łóżka siatką przeciw komarom. Trzeba było uważać na pająki zwane tarantule, falangi oraz skorpiony. Przeżyliśmy też tam burze pustynne. I malarię. W tych warunkach graliśmy codziennie dla polskich, brytyjskich i hinduskich oddziałów stacjonujących w Mosulu, Habbaniyi, Kirkutu i Khanakinie czy Bastrze u zbiegu rzek Eufrat i Tygrys. Naszą sceną były połączone ze sobą platformy samochodowe.

Wigilię 1942 roku spędziliśmy na pustyni, ale dekoracje Feliksa Fabiana nawiązywały do polskiej tradycji świątecznej. Po świętach nadeszła pora deszczowa i cała pustynia zamieniła się w ogromne jezioro. Wkrótce przeniesiono nas do Bagdadu. Zamieszkaliliśmy, zamiast w namiotach, w glinianych budynkach o płaskich dachach.

Występowaliśmy często. Ale jedno przedstawienie pamiętam szczególnie. Na widowni były same kobiety arabskie i tylko jeden mężczyzna... sześćioletni król Iraku Feizal.

Pewnego dnia przyszedł kolejny rozkaz wyjazdu do Palestyny. Nasz zespół ewakuowano czterema samochodami. Jeden wypełniony był instrumentami i kostiumami. Dołączono nas do długiej ciągnącej się milami kolumny naszego wojska. Podróż przez pustynię trwała sześć dni. Jechało kilka tysięcy samochodów pełnych naszych żołnierzy, sprzętu. Kwatermistrze i tabory z kuchnią jechały pierwsze. W nocy spaliśmy na kocach na otwartej pustyni. W sierpniu 1943 roku dotarliśmy do Palestyny, która przywitała nas gajami – pomarańczowymi, oliwkowymi. Wojsko rozmieszczono w kilku miejscowościach. A nasz teatr zakwaterowano w namiotach w dużym obozie pod Genderą. Mieliśmy kilka dni odpoczynku i zaczęliśmy dawać przedstawienia dla naszych oddziałów. Graliśmy również w miejskich teatrach w Tel Awiwie i Jerozolimie. Wśród publiczności byli polscy Żydzi, którzy wyjechali w latach dwudziestych i trzydziestych. Powodzenie miała orkiestra Warsa i występy Zosi Terne z Ludwikiem Lawińskim i Lopkiem Krukowskim, których pamiętano jeszcze z Warszawy.

Często dostawaliśmy przepustki do Tel Awiwu, Jerozolimy czy Hajfy. Byliśmy zachwyceni, słysząc na ulicach wielu ludzi mówiących po polsku. Chodziliśmy do kawiarni i restauracji, które należały do Żydów z Polski. Po kilku latach mogliśmy zjeść polski żurek, pierogi z serem i kartoflami, barszcz z uszkami i inne przysmaki. Od czasu do czasu mogliśmy pójść nawet na plażę. Kilka razy siedziałem na gorącym piasku z Hanką Ordonówną i jej mężem. Wspominaliśmy Warszawę, dawnych znajomych. Ona była bardzo ciekawa losów naszych kolegów. Z niektórymi występowała w Wilnie. Straciła z nimi kontakt, i nagle ktoś się odnalazł właśnie w Palestynie. Takich nieoczekiwanych spotkań przeżyłem w czasie wojny mnóstwo.

Mniej więcej w tym okresie Armia Polska na Wschodzie została przekształcona w 2. Korpus, który pod dowództwem generała Andersa wszedł w skład brytyjskiej 8. Armii.

Nasze władze wojskowe były dumne z sukcesów Polskiej Parady i na przedstawienia zapraszano najwyższych angielskich dostojników wojskowych, jak marszałka Aleksandra, generałów Leksa, Clarka i Morgana. Naprawdę czuliśmy się pieszczochami wojska.

Po Palestynie był Egipt. W Hajfie załadowano nas na okręty. W Egipcie znowu gorąco, my na pustyni w miejscowości Qassasin, dopiero później przetransportowano nas bliżej Kairu.

Na pierwsze przedstawienie w dużej Sali Ewart Memorial Hall w Kairze przybyli król Egiptu Karuk ze swoją żoną, król Grecji Jerzy i król Jugosławii Piotr.

Z kolejnymi programami wyjeżdżaliśmy też do naszych oddziałów w Qassasin, do angielskiego dużego obozu w Heliopolis koło Kairu oraz do Aleksandrii.

Z Aleksandrii polskie statki „Batory” i „Sobieski” oraz towarzyszący im konwój kilkunastu brytyjskich okrętów wojennych wypłynęły z naszym wojskiem do Włoch. Transport miał eskortę brytyjskich samolotów i kontrtorpedowców, wśród których znajdowały się także polskie „Ślązak” i „Krakus”. Płynęliśmy pięć dni „Batorym”, który był chroniony przez działa przeciwlotnicze znajdujące się na statku. Wśród załogi spotkaliśmy znanego polskiego aktora filmowego Mieczysława Cybulskiego oraz gitarzystę Wiktora Tychowskiego. Byli tam zatrudnieni jako zwyczajni marynarze.

15 marca 1944 roku dobiliśmy do włoskiego portu Taranto. Razem z nami przybyły wojska brytyjskie, hinduskie i nowozelandzkie. Po dwóch tygodniach wszystkie zespoły teatralne (w tym także powstały w Bagdadzie Teatr Dramatyczny 2. Korpusu Jadwigi Domańskiej i Wacława Radulskiego) przetransportowano do miasta Campobasso w Apeninach. Artyści zostali rozkwaterowani w prywatnych domach. Przydzielono nam lokalną salę teatralną na próby. Po trzech latach koczowania najpierw w ziemiankach, potem w namiotach i pod gołym niebem, nareszcie mieliśmy wspaniałe warunki do życia i pracy. Ludność włoska entuzjastycznie witała polskie wojsko. Znajomości przekształcały się w przyjaźnie, liczne flirty i romanse zaowocowały wieloma małżeństwami. Z Campobasso wyjeżdżaliśmy z kilkusobowymi zespołami do oddziałów frontowych, dając jedno lub dwa przedstawienia. Ruszaliśmy wczesnym świtem. Droga prowadziła przez góry, więc poruszaliśmy się wolno. Po trzech, czterech godzinach byliśmy na miejscu. Potem występ. Nie zawsze jechało z nami pianino. Częściej musiały wystarczyć akordeon i gitara. Przedstawienia odbywały się zwykle u stóp jakiejś góry, która chroniła nas i widzów przed ostrzałem niemieckich pocisków. W Pietrobondante i w Aquafondata Niemcy byli tak blisko, że gdy usłyszeli muzykę i śpiew, zaczęli strzelać w naszym kierunku i musieliśmy uciekać. Powrót zawsze odbywał się późnym wieczorem. Kiedyś nasz kierowca pomylił drogę. Dogonił nas patrol wojskowy. Żandarm zapytał: „A państwo dokąd jadą?”. Odpowiedzieliśmy, że wracamy z koncertu do Campobasso. A on rozbawiony: „A to świetnie! Za tym pagórkem możecie dać koncert Niemcom! Czekają na was!”.

W Campobasso znajdował się polski szpital, w którym raz w tygodniu zawsze śpiewaliśmy. Na sali. Wśród chorych i rannych. Leżeli tam młodzi chłopcy, z bandażami na głowach, niektórzy bez nóg, rąk. Nie chcieli nas wypuścić. Dlatego byliśmy u nich co parę dni.

Pytałam pana Gwidona o historię pieśni *Czerwonych maków*. Powstała wokół niej legenda. Interesowało mnie, co jest w niej prawdą, a co zmyśleniem...

— W legendzie o *Czerwonych makach* nie ma żadnej przesady — odpowiedział pan Gwidon. — Oczywiście Felek opowiadał potem, iż napisał tę pieśń w jedną noc.

Ale do powstania tej piosenki (bo najpierw to była piosenka!) nie wystarczył nastrój jednej chwili, jednego wieczoru. Była ona wynikiem atmosfery wielu tygodni poprzedzających bitwę. Mieliśmy świadomość, że jesteśmy świadkami czegoś niezwykle, wielkiego i tragicznego zarazem. Wiedzieliśmy, że bitwa o Monte Cassino była straszna, że porównać ją można z bitwą o Verdun podczas pierwszej wojny światowej. Nazwano ją później bitwą siedmiu narodów, bo przecież niemiecką obronę kolejno atakowały wojska amerykańskie, brytyjskie, nowozelandzkie, hinduskie, francuskie i teraz w to piekło weszli Polacy! A to byli nasi koledzy! Z nimi wyszliśmy z Rosji. Szliśmy razem przez pustynie, przepłynęliśmy morza, dla nich występowaliśmy. Oni nam gratulowali. Śmiali się na naszych występach. Żyliśmy w wojsku jak jedna wielka rodzina. I teraz myśmy byli niemymi świadkami walk, które toczyły się tak blisko nas. Przed walkami o Monte Cassino okoliczne góry były obsypane czerwonymi makami. To było morze kwiatów. Konarski, widząc, co się dzieje, nie mógł napisać inaczej. Między 12 a 18 maja nie mieliśmy ani występów, ani prób. Każdy chodził oswiały, bez chęci do jakiegokolwiek działania. Tylko Felek gdzieś przepadł. Potem, gdy dotarła do nas wiadomość o zwycięstwie, okazało się, że ma już gotową pieśń. Moim zdaniem zaczął ją pisać tej pierwszej nocy z 12 na 13 maja. Tylko ja i Fredek Schütz widzieliśmy pierwszy rękopis. Cały był pokreślony licznymi poprawkami.

W środku nocy Ref-Ren obudził najpierw Fredka, a następnie mnie. Zdenerwowałem się, że o trzeciej nad ranem każą mi się uczyć nowego tekstu. Ostatnie noce miałem bezsenne. Ta była pierwsza, kiedy spokojnie zasnąłem. A oni mnie brutalnie obudzili. Coś tam nawet mruzczałem pod nosem, że występujemy na wojnie od kilku lat, ale nikt jeszcze nie urządził próby o takiej porze. Ale po przeczytaniu pierwszych słów, wiedziałem, że to będzie sukces. Ich obu, oczywiście. Chociaż Felek po latach opowiadał w wywiadach, i w prywatnych rozmowach, że gdyby wiedział, że zrobi się z tego taki szlagier, sam by sobie muzykę napisał.

Złocił tym Fredka, który czuł się współautorem tego muzycznego arcydzieła. Zapis nutowy, to nie tylko melodia dla wykonawcy, ale także aranżacja dla orkiestry. A to umiał robić tylko Fredek. Przecież wtedy zrodził się drugi hymn narodowy! Ale to okazało się dużo później.

19 maja po południu pojechaliśmy na Monte Cassino. Jeszcze rano oczyszczano całą okolicę z trupów i min. Ten pierwszy występ był dla dzielnych zdobywców klasztornej góry. Stawili się wszyscy: Ela Niewiadomska, Nina Oleńska, Renata Bogdańska, Filip Ende, Ludwik Olszyński, Staszek Ruszała, Felek, Fredek, ja i orkiestra Warsa.

Na widowni, poza generałem Andersem, siedział generał Nikodem Sulik (dowódca 5. Dywizji Kresowej) oraz kilku dowódców alianckich.

Widzieliśmy nad ruinami klasztoru dwie flagi: polską i brytyjską. Koledzy z innych zespołów nam zazdrościli. Tego wyróżnienia, tych wzruszeń. Felkowi i Fredkowi gratulowali, i pisali o tym, co się wydarzyło, swoje piosenki. Krukowski napisał *Balladę o Monte Cassino*.

Ale żadna piosenka nie zdobyła popularności naszych *Maków*.

Jakiś czas potem wyjechałem do Anglii. Nie było mnie wtedy, kiedy powstawały nagrania płytowe. Na moje miejsce w zespole przyszedł Adam Aston. I to on zaśpiewał *Maki* na płycie. Później jeszcze zrobił nagranie Paweł Pokropieni.

Gwidon Borucki po przyjeździe do Londynu w sierpniu 1945 roku wstąpił do zespołu Lotniczej Czołówki Teatralnej, którą w tym czasie kierował Stanisław Pętko-Kotwicz. Do końca działalności tego kolejnego żołnierskiego teatrzyku, czyli do jesieni 1946 — występował w kilku ostatnich premierach przedstawień muzycznych. Po

rozwiązaniu zespołu, przyjął zaproszenie do udziału w programach rewiowych Wiktora Budzyńskiego, Feliksa Konarskiego, Mariana Hemara. Ale ponieważ z zarobków w teatrze emigracyjnym trudno było żyć, postanowił spróbować sił w filmie i telewizji angielskiej. I to mu się udało! Zagrał w ponad czterdziestu produkcjach brytyjskich. Zapytałam go, jak to było możliwe?

— W Wielkiej Brytanii w okresie powojennym istniały duże możliwości dla aktorów obcego pochodzenia — odpowiedział z uśmiechem pan Gwidon. Nie byłem jedynym polskim aktorem, którego Anglicy angażowali do filmu. Poza mną w wielu produkcjach filmowych brali udział moi koledzy: Zygmunt Rewkowski, Ludwik Lawiński, Artur Butscher, Zbigniew Blichewicz, Czesław Grocholski, Mieczysław Malicz, a Stanisław Zięciakiewicz zagrał Stalina!

Mnie proponowano role Włochów, Niemców, Francuzów, Rosjan i Polaków. Praca na planie filmowym zajmowała mi kilka lub kilkanaście dni. Dlatego agencja, z którą współpracowałem wystarała się dla mnie o role w teatrach angielskich na tak zwanym West End czyli w dużych teatrach Londynu. Przybrałem pseudonim Guido Larraine. Pierwszą rolę dostałem w rewii na lodzie w ogromnym Stoll Theatre. Sztuczne lodowisko na scenie, pięćdziesięcioro zawodowych łyżwiarzy. Ja, po miesiącu nauki, jeździłem z harmonią razem z mistrzami świata. Śpiewałem piosenki włoskie, francuskie, tyrolskie z jodłowaniem, i miałem powodzenie. Te występy trwały trzynaście lat. Zawsze też korzystałem z zaproszeń teatru dla rodaków. Brałem udział w rewiach, akademiach. Dawałem recitale poza Londynem.

Ostatnią moją rolą w Londynie był włoski książę w musicalu *Grab me a Gondola*, który grano tu przez dwa lata. W 1959 roku razem z moją partnerką pojechałem na roczny kontrakt do Australii. Objechaliśmy Sydney, Brisbane, Newcastle, Adelaide, Nową Zelandię. Mieliliśmy ogromne powodzenie. Zauważono mnie i kanał 7. telewizji w Melbourne zaproponował mi *engagement* i przez rok wraz z australijską śpiewaczką Jocelyn Terry występowałem w każdą środę o czwartej po południu w programie *Tea for Two*. Nauczyłem swoją partnerkę śpiewać w kilku językach, ja akompaniowałem na fortepianie i na akordeonie. Ona grała na gitarze i śpiewaliśmy piosenki w dwunastu językach, w tym oczywiście i po polsku, a nawet po japońsku (Jocelyn). Te występy dawały i dużo satysfakcji, i pozwoliły podjąć decyzję o pozostaniu w Australii. Ale nie zerwałem kontaktów z kolegami w Londynie. Jeździłem tam wiele razy na występy z Zofią Terne i Heleną Kitajewicz. A w Australii kwitło życie teatralne wśród Polonii. Wszędzie, gdzie mieszkają Polacy musi być i polski teatr. Organizowałem spotkania i występowałem przez kilkadziesiąt lat w wielu miejscach osiedlenia się polskiej emigracji. 26 września 1965 roku założyłem w Melbourne filię Związku Artystów Scen Polskich. Do Polski przyjechałem w latach siedemdziesiątych. Spotkałem się wtedy ze Stefanią Grodzieńską, Stefcią Górską, Jerzym Jurandotem, Włodkiem Boruńskim. Byłem w Teatrze Syrena. Tęskniłem, ale rozumiałem, że w Polsce nie umiałbym już żyć...

W 1984 roku manuskrypt pieśni *Czerwone maki na Monte Cassino* zawiozłem do Londynu, do Instytutu im. Gen. W. Sikorskiego wraz z innymi pamiątkami z okresu wojny. Nagrałem wspomnienia dla Radia Wolna Europa, a także już w latach dziewięćdziesiątych dla Polskiego Radia w kraju. Przyjeżdżają do mnie dziennikarze radiowi i telewizyjni z Polski. Brałem udział w kilku filmach dokumentalnych, które realizowała Telewizja Polska. W 2001 roku miłą niespodziankę zrobili mi dziennikarze I Programu Polskiego Radia, którzy dzwoniąc do mnie ze studia z Warszawy odnaleźli mnie na urlopie tysiąc kilometrów od domu. Było to nagranie na żywo dla słuchaczy

w kraju i z zagranicy. Prawie godzinę mówiłem i śpiewałem bez akompaniamentu. Potem dowiedziałem się, że audycja miała duże powodzenie.

Czy czegoś żałuję? Nie. Miałem kolorowe życie. Zwiedziłem dosłownie cały świat. Z piosenką na ustach i w sercu. I jeszcze mi za to płacili! Najważniejsze i największe honorarium to jest ludzka wdzięczność. Żyją jeszcze ci, dla których występowaliśmy w Rosji, we Włoszech i w Anglii. Piszemy do siebie coraz rzadziej. Bo już i wzrok nie ten, i ręka drży.

Teraz jest tak, jak pisał Hemar:

*Śmierć na obczyźnie nas wymiata
Jak pajęczyny w kącie.
Coraz nas mniej z naszego świata,
Co się oddala i odlata
I tylko po nim dzwony dzwońcie.*

30 grudnia 2009 otrzymałam od Gwidona Boruckiego ostatni list, w którym pisał między innymi: „Bardzo dziękuję za przesłane wspomnienia Mieczysława Fogga, szalenie ciekawe. Ja ciągle jeszcze gram i śpiewam w klubach dla seniorów. Moja harmonia jest w Warszawie, w Muzeum Wojska Polskiego, a moich siedem medali w Londynie, w Muzeum im. gen. Sikorskiego. Serdecznie panią pozdrawiam — Gwidon Borucki”.

Dzień później dowiedziałam się, że zmarł tragicznie upadając na głowę we własnym ogrodzie. Pogrzeb odbył się 6 stycznia 2010 roku w Melbourne o godz. 14.30 na cmentarzu Springvale.

Ale jego serce zostało w Polsce, którą opuścił dokładnie siedemdziesiąt lat wcześniej. Może spaceruje z przyjaciółmi sprzed lat: Jarosym, Terne, Lawińskim, Konarskim, Budzyńskim, Schlechterem... Może śpiewają razem z Hemarem jego piosenkę *Moje serce zostało we Lwowie*:

*Moje serce zostało we Lwowie
W moim mieście kasztanów i bzów,
A ja chodzę wśród ludzi samotny przez świat,
Tyle dni i tygodni, miesięcy i lat.
Zatrzymałem się w drogi połowie,
Okradziony z mych marzeń i snów,
Ale czekam na dzień, gdy we Lwowie
Ze swym sercem połączę się znów.*

Anna Mieszkowska (Warszawa)